

Agnieszka Kumor *Libera nos*

Kobieta zawiesiła głos i chyba się uśmiechnęła. Mimowolnie spojrział w jej stronę. Ale ona nie zwracając na niego uwagi, ciągnęła dalej:

– Z końcem lutego w nocy, na pierwszy marca szło, usłyszałam... jak to ksiądz mówi? „Głos” czyjś? Nie, raczej poczułam w sobie nakaz taki, żeby do groty pójść. Obudziłam dzieci, zabrałam się i poszłam. Jak doszłam do miasta zobaczyłam źródółko, strumyczek tygi, wody w nim ledwie, ledwie. Włożyłam do niego chorą rękę. Od ramienia do palcy. Tu noc, zima w pełni, a ja rękę zanurzam w lodowatej wodzie... I nie wiem co się stało. Ja nawet nie poczułam czegoś wielkiego. Poza zimnem tylko. I od razu mogłam ruszać ręką jak dawniej. Zaraz potem dostałam pierwszych bóli. Więc zabrałam się z dziećmi do domu, a nad ranem urodził się Jean-Baptiste. Mój mały Jan-Chrzciel.

Poczuł na sobie jej spojrzenie. I uśmiech. Tym razem nie uśmiechała się gdzieś w przestrzeń czy do siebie, ale wprost do niego. Ona dzieliła się z nim swoim szczęściem. Trwali tak przez chwilę w zawieszeniu.

– Czego ty ode mnie chcesz, Catherine? – Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. – Że to niby cud jakiś? Mam cud ogłosić?

Jego głos stawał się coraz bardziej natarczywy, nie próbował się już opanować. Znalazł wreszcie postawę obronną, której daremnie szukał w hrabiowskim salonie. Ciągłe ktoś oczekiwał, że się opowie po którejś ze stron, że zajmie stanowisko. A może on nie chciał się opowiedzieć, może nie miał zdania?

– Czy prosiłaś o uzdrowienie? Czy ty w ogóle się modlisz? – Czuł, że jeszcze chwila a wybuchnie. Rozwścieczył go ten jej uśmiech, jakby przewidywała jego reakcję. Durne wiejskie babsko.

– Ksiądz nie muszą mi wierzyć – odpowiedziała spokojnie Catherine. – Ja wiem, że to prawda co mówię. I powinien o tym dowiedzieć się biskup. Nie dla mnie biskupie pałace i dzieci nie mam z kim zostawić. Ksiądz za mnie pójdą. Pójdą i zaświadczą. Bo tak trzeba.

To powiedziawszy, wstała z klęczek i ucałowała leżącą na drzwiczkach konfesjonału stulę. Śpiące w jej ramionach niemowlę nawet się nie poruszyło. Potem podeszła do siedzących w ławce dzieci i wszyscy razem wyszli. Przed kościołem kobieta zmieniła jeszcze raz buty, a potem znikła mu z pola widzenia.

Zaległa cisza. Dopiero teraz poczuł, że od dłuższego czasu nie oddychał. Wciągnął mocny haust powietrza i zakrztusił się. Długo trwało zanim się opanował. Wstał ociężale, wyszedł z konfesjonału i powoli zamknął za sobą drzwiczki. Zapomniał przeżegnać się przed

ołtarzem. Chciał jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz. Pod statuą św. Franciszka w bocznej kaplicy zauważył świeże polne kwiaty. Kto je tam położył i kiedy? Tak, prawda. Starszy chłopiec Catherine. Matka pewnie przypilnowała, aby uczcił święto swego patrona. Kapłan odwrócił się do wyjścia i stanął jak wryty.

W otwartych drzwiach świątyni stał duży wiejski pies. Miał żółtą sierść i długi lekko zawinięty na końcu ogon. Młody jeszcze, dwu-, najwyżej trzylatek. Najpewniej przybłąda. Pies zatrzymał się na progu i zaglądał do środka, nisko pochylając kształtny łeb o wydłużonym pysku. Wydał mu się znajomy. Cmoknął na niego przymilnie. Pies wlepił weń czarne ślepia, położył uszy po sobie i dalej stał, wyczekując. Zrobił krok w stronę zwierzęcia, ale pies zerwał się nagle i uciekł z podkulonym ogonem. [...]